

Helena Sokół

Sygnatura notacji: **N1229**
Data urodzenia: **31.07.1928 r.**
Data nagrania: **01.03.2018 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **33 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Helena Sokół: Urodziłam się w lipcu, trzydziestego pierwszego, 1928 roku w Warszawie na ulicy Kredytowej, gdzie moi rodzice tam mieszkali. Potem moja mama pracowała w szkole Anny Wazówniej, imienia Anny Wazówniej. I tam pracowała przez szereg lat. Uzbierali trochę pieniędzy. Ojciec był taksówkarzem i uzbierali pieniądze i kupili dwa domy w Łomiankach. Jeden na wynajem, a drugi, w którym my mieszkaliśmy, w centrum Łomianek. No i tam się zaczęło wszystko właściwie, w Łomiankach. To był też znamieny rok, bo to było śmierć Józefa Piłsudskiego. W tym roku pamiętam, to głęboko mi utkwiło w pamięci. To przygotowanie patriotyczne do tego wielkiego człowieka. Jak nas uczyli piosenek o marszałku Piłsudskim, jak dekorowaliśmy jego portret, jak opłakiwaliśmy jego śmierć. Jak palili stosy, żeby uczcić ten właśnie wielki dzień, kiedy odszedł od nas taki człowiek. To wszystko zapadło mi w pamięci. No, byłam takim dzieckiem bardziej wrażliwym i wszystkim się bardzo interesowałam. No, a przede wszystkim miałam tam też koleżanek dużo i Żydówek, z którymi chodziłam do jednej klasy, bo to była, pierwszy rok to był 1935, początek mojej edukacji. I tam poznałam dziewczynki żydowskie też, z którymi razem byłam w jednej klasie. Była taka Słoniówna, pamiętam, Słoń nazwisko. Ojciec był krawcem. Pamiętam relację między nami, dziewczynkami żydowskimi i bardzo razem bawiliśmy się, odwiedzaliśmy. Moja mama prowadziła też sklepik, już przed wojną, ale czas okupacji później pozmieniał nam wiele w tym życiu. Był taki sklep w Łomiankach, ogólnospożywczy pani Guzowskiej, która prowadziła sklep w takim dużym budynku, Pekinie nazywanym, tam bardzo dużo było rodzin żydowskich. I zawsze ja tam do niej chodziłam, te dziewczynki do mnie przychodziły. Bardzo w dobrych relacjach ześmy żyły. No, wojna później to wszystko pozmieniała. Okres okupacji, ojciec w trzydziestym dziewiątym roku został powołany do wojska. Mama sama została z nami, to znaczy, moim bratem Marianem i mną, i starała się nas jakoś wychowywać samodzielnie, żebyśmy przygotowani byli dobrze do życia. Dalej to były bardzo trudne czasy. Potem, kiedy Niemcy

zaczęli wojować z Żydami szczególnie, bo zabierali ich masowo do getta warszawskiego. Pamiętam, jedna z tych Żydówek przychodziła do mamy do sklepu. Zawsze tam kupowała i zawsze tak się mną opiekowała. Ja do niej chodziłam tam często też na sąsiednią ulicę, Rolniczą. Ale ona przyszła do mamy się pożegnać. Pamiętam, jak te słowa mówiła: „Teraz się wzięli za nas Niemcy, ale na pewno i za was też się wezmą”. Te słowa jako dziecko zapamiętałam. A tam było bardzo dużo Żydów w Łomiankach. Był taki Rechtman, który miał skład desek w Łomiankach. To nazwisko dobrze zapamiętałam. Było też dużo Niemców kolonistów, którzy wykupywali ziemię, tam w ogół Łomianek, i tam się osiedlali. I tam była też świątynia taka niemiecka Kircha nazywała się. Jej pastorem był pan Kopf, to pamiętam. I on tam właśnie organizował też jakieś przeciwko Polakom, no bo to Hitlerjugend tam założyli. Pamiętam, jak ta młodzież, tych folksdojczy, uczestniczyła w takich marszach pokazowych. Przez Łomianki chodzili, butnie pokazywali, że oni są właśnie Niemcami. Tak że szybko nawiązały się te stosunki między najeźdźcami, a tymi tubylcami, którzy byli w tym czasie już właśnie w Łomiankach. Ale pamiętam też bardzo dobrą Niemkę, folksdojczkę, która w trzydziestym dziewiątym roku pomagała żołnierzom polskim, którzy leżeli w szkole, na podłodze, jako ranni. To było bardzo straszne. To ja, jako dziewczynka z moją mamą i kobiety wokół z Kiełpina i z Łomianek, gospodynie domowe gotowały obiady, przygotowywały bawarkę, mleko z herbatą i poili tych rannych żołnierzy. I pamiętam, jak żołnierz tak mnie chwycił za sukienkę, jak ja szłam: „Wody! Wody!”. To nie zapomnę tego. Był spragniony, był ranny. Krew uchodziła z tych żołnierzy. Codziennie stosy trupów pod szkołą były. Wywozili ich później pod kościół i tam, przed kościołem chowali tych żołnierzy. Tam dwa i pół tysiąca poległo żołnierzy Armii Poznań. Właśnie w Łomiankach jest ten cmentarz wojskowy. To były straszne czasy. Pamiętam też, po wojnie jak wywozili, przetransportowali tych żołnierzy poległych na cmentarz w Kiełpinie. To było nie do wytrzymania, ten zapach trupi. Ludzie furmankami wozili tych żołnierzy. Niektórzy mieli swoje nieśmiertelniki, to można było odczytać, kto zginął, jak się nazywał, to oddzielną mu tabliczkę tam robili, a tak to wszyscy w jednym grobie, po osiemdziesięciu byli chowani. To jest nie do zapomnienia. No, a potem ojca nie było, matka tam z nami jakoś sobie radziła. Myśmy pomagali. Ja jako młoda dziewczyna jeździłam po zakupy dla mamy, do sklepu, z drugą moją o trzy lata starszą koleżanką. Zaopatrywałyśmy ten sklepik w cukierki, w jakieś tam papierosy i to wszystko mama później tam rozprowadzała. Z tym że to wszystko później się jeszcze przeniosło na okres już po prawie wojenny, kiedy w Puszczy Kampinoskiej byli partyzanci. Bo oni walczyli z wrogiem, dlatego że puciekali z Warszawy i tam w Puszczy Kampinoskiej, to mama też, pamiętam, bochenki chleba szykowała, zostawiała, zawsze wieczorem przychodził taki partyzant i zabierał to. Ja kiedyś tam przyszłam, patrzę, leży pistolet tam. Przeraziłam się, że to jakiś bandyta, on mówi: „Nie bój się, nie bój. My tutaj w porządku, nie bój się”. No i ja się, mama mi kazała wyjść, bo to była tajemnica, to nie wolno było przecież takich rzeczy robić, bo za to groziło przecież straszne konsekwencje. Ale pamiętam, w czasie kiedy getto już zorganizowali w Warszawie, to ci mali Żydzi, taci mali, chudzi chłopcy, przedostawali się jakimiś, nie wiem, kanałami, jakimiś dziurami w getcie, w murze, przedostawali się, żeby ratować swoje rodziny. I mieli ze sobą na plecach takie worki, i pamiętam, jak przychodzili do mojej mamy, do sklepu, i prosili, to jeden taki był, głównie jeden, a potem jeszcze inni jak się dowiedzieli, że tu jest takie źródło zaopatrzenia, to jeszcze i następni przychodzili. I mama im zawsze pakowała jedzenie do tego worka na plecy. I wieczorem, kiedy już nikt nie widział, to ci mali chłopcy po różnych domach chodzili. To nie tylko do mojej mamy. Ale głównie, bo w sklepie, no to najwięcej można było się tam zaopatrzyć. I ludzie pomagali. Pamiętam, na Dąbrowie taka pani Bronisława, też przychodził ten Żydziać często tam. To zawsze mu dawała jeść i dawała mu coś do plecaka. Ale on prosił, żeby go przenocować. Ale ona się bała, bo przecież groziła śmierć za to. To jakoś raz go przenocowała i ten chłopak potem drugi raz przyszedł jeszcze, potem dowiedzieliśmy się, że jakiś folksdojcz go zastrzelił.

Ale to były straszne czasy. No, minęła ta trauma ogromna z tą okupacją. Potem wojna, front w czterdziestym czwartym roku. Czekamy na wyzwolenie ze strony Wisły. Armia Czerwona niby miała nas wyzwolić. Okazuje się, że to tylko były mrzonki, bo oni chcieli, żeby ta Warszawa się wykrwawiła, żeby ci Polacy uznali ich rządy. No to jak było dalej, to wszyscy wiemy. Ja w tym czasie, jako dziecko, no mówiłam, pomagałam mamie, ile tylko mogłam. Mama ten sklepik dalej prowadziła, ale skończyła się wojna w czterdziestym piątym roku. Trzeba było organizować szkołę. Ja miałam wtedy już szesnaście lat. Mój kierownik szkoły właśnie zwrócił się do matki, czy ja czasem nie mogłabym pomóc uczyć dzieci. Bo nie, on organizował tę szkołę, to był pan Teofil Jezierski. Do dziś jego syn mieszka i żyje w Łomiankach, może to potwierdzić, Leszek Jezierski, jest w moim wieku. I właśnie on organizował szkołę i ja tam pierwsze kroki swoje stawiałam jako niedoświadczona nauczycielka, ale zawsze jako mała dziewczynka bawiłam się w szkołę i chciałam być. I to zdobyłam. Najpierw nauką na kursie, potem na różnych kursach doszkolających. Potem liceum pedagogiczne w Kwidzynie. Tam zabrał mnie mój profesor z Łomianek, który uczył mnie jeszcze w szkole powszechnej niemieckiego. To on właśnie tam zaczął pracować i mnie zabrał do tej szkoły. I tam skończyłam liceum pedagogiczne, trzyletnie. W czterdziestym dziewiątym roku zdałam maturę. Wróciłam do Łomianek, do pracy, znów do mojej macierzystej szkoły. I tam przebywałam do pięćdziesiątego ósmego roku, pracowałam w szkole w Łomiankach. Potem dostaliśmy to mieszkanie i tu się przeprowadziłam z mężem. No cóż jeszcze mogę przypomnieć sobie. Ten okres bardzo był trudny. Kiedy po wojnie wszystko było zniszczone. Dachy z domów pozdejmowane, bo Niemcy robili sobie z tego bunkry. Pamiętam, nasz dom miał blachę. Zdjęli tę blachę i my z bratem takim wózkiem, który zostawili tam Niemcy, czy to jeszcze z trzydziestego dziewiątego roku, woziliśmy materiały budowlane, wrywając z bunkrów te resztki belek, drewna, co się mogło przydać na ten dach. I taki nasz sąsiad, pan Połec, najpierw nam jakoś skonstruował ten dach, pomógł. I słomą był pokryty. Pamiętam, do czterdziestego chyba dziewiątego, nie, jeszcze dalej. Bo mąż jak przyjeżdżał do mnie, jako narzeczony, to był w wojsku, w marynarce wojennej. To pamiętam, jak strzelał na wiwat z pistoletu, bo jakaś młoda para brała ślub, a nasz dom był vis-a-vis kościoła. To mama się bała, że ten dach może się zapalić, bo to był ze słomy. No i to było jakiś pięćdziesiąty drugi rok, trzeci. Dopiero ten dach naprawili, papą kryty. A ojciec mój wrócił w czterdziestym siódmym roku dopiero do Polski. Dwa lata przebywał po wojnie jeszcze za granicą. Przebywał we Włoszech, w Anglii. Była taka propaganda, że tutaj rządzą komuniści, nie przyjeżdżajcie, bo oni tutaj was zaaresztują. I tak było, że ojciec kiedy wrócił w czterdziestym siódmym roku, to nie mógł nigdzie pracy znaleźć. Dostał wreszcie jakoś jako kierowca, w takim hufcu pracy, młodzieżowym. Jako kierowca tam pracował jakiś czas. No, ale sam był słabego zdrowia, zaczął chorować. Pomagał mojej mamie, jak wrócił, w prowadzeniu tego sklepu. I żeśmy tak jakoś tam żyli. No i zmarł w pięćdziesiątym trzecim roku. Jak by pani była uprzejma jeszcze powiedzieć o historii brata. Mój brat Bolesław Żelazny, nazwisko inne, dlatego że moja mama wyszła za mojego ojca jako wdowa. A miała pierwszego męża, Paweł Żelazny i z tego małżeństwa był ten Bolesław. I on się nazywał Żelazny, i został złapany na ulicy Targowej na łapance, razem z Czesławem Leśniakiem, swoim kolegą. Jego zebrali do Oświęcimia. Numer oświęcimski miał 5091, bo mam tutaj te dokumenty, 5091. To był rok 1940. I właśnie mama moja się dowiedziała o tym, że został wywieziony do Niemiec. To pamiętam, że błagała na kolanach tego pastora Kopfa z Łomianek, żeby coś robił, żeby pomógł wydostać go. Ale on nic nie mógł zrobić. Chciał mamie pomóc, ale to była wojna i to nie było możliwe wyciągnięcie z takiego obozu. Ale po jakimś czasie przyszło, paczka przyszła. Perfidni Niemcy byli. Przyszła paczka z butami mojego brata, z jakimiś ubraniami i z wypisem tym z Auschwitz, że 29 grudnia 1940 roku zmarł mój brat na serce, tak napisali, że zmarł na serce. A wiemy, że było inaczej, bo to wszystkich palili. On nie był przecież Żydem też, nie był. Był Polakiem tak samo. Obok cierpieli i Żydzi,

i Polacy. Po wojnie odezwała się taka organizacja Maksymilian Kolbe. I właśnie, ci właśnie z tej organizacji, próbowali pomagać tym wdowom po więźniach Auschwitz. I moja bratowa, Łucja Żelazna, dostała raz czterysta marek od nich i drugi raz czterysta marek. Do dzisiaj mam pisma, właśnie z tej organizacji. Jak chcieli pomóc. No, ale to było wszystko kropla w morzu. Moja bratowa i brat mieli syna, Mieczysława. No, to dziecko też wymagało i nauki, i opieki, i pracy. A były, po wojnie były bardzo ciężkie warunki. Moja bratowa zatrudniła się w Mennicy Państwowej i tam pracowała do emerytury. Tam pracowała, opiekę tam już miała. Ale już na tym poprzestali Niemcy. Już żadnych tam pomocy nie było, żadnych odszkodowań potem nie było. Tak że mam tutaj te wszystkie dokumenty, tego brata. Jak on pisał listy do mojej mamy. Nie zapomnę tego, nie mogę sobie darować, że te listy zostały tam u mamy. Pod bufetem pamiętam, że miała w takim blaszanym pudełku te listy z Auschwitz. A co się stało później po śmierci mamy, bo ja już tu mieszkalam w Warszawie, że to pudełko zginęło, z tymi listami. Do dziś nie mogę sobie tego odżałować. Jako dokument, co on tam wypisywał, jak to było. No na pewno same dobre rzeczy musiał pisać, bo jakże by to było, że w obozie jest źle, że prześladują, że mordują, że palą. Ja po wojnie tak jak cały czas pracowałam do 1986 roku w szkole na Twardej. Właśnie tu koleżanka moja też ze mną była. I mamy też wspólną koleżankę, która zna może lepiej tę sprawę żydowskie, ponieważ jej mąż, Szczepan, uczestnik Powstania Warszawskiego, był ostatnim kierowcą tego pojazdu „Kubuś”, pancernego. On był kierowcą tego pojazdu. I właśnie ona bardzo dużo na ten temat wie, ponieważ on był strażakiem i wchodził do getta na przepustkę. I mógł tam wiele pomóc. I wiele razy wyprowadzał Żydów właśnie między tymi maszynami pożarniczymi, to wiem, ona opowiadała mi, że przemycał Żydów, kiedy wracał z pracy w getcie. Bo on miał stałą przepustkę, że mógł tam bywać. I kiedyś też wywieźli taką Żydówkę do Młocin. I ona tam się z nimi pożegnała, podziękowała i miała pistolet. Miała, oddała tam jednemu z tych panów, którzy ją wywieźli. To znaczy, że też ona była przygotowana do walki z Niemcami, skoro ten pistolet podarowała. Ale to nie było, to w formie takiego dziękczynienia za to, że po prostu ją uratowali z tego getta. Więc ta pani mieszka, to jest koleżanka moja i tutaj tej Sławki, jest poetką jednocześnie, bo wydała trzy książki, tam o Żydach też ma jeden wierszyk, o swoich koleżankach żydowskich. To mam nawet przygotowany, pokazać? I ona najwięcej może na ten temat powiedzieć. Mieszka w Piastowie. Ja sama, jak jeździłam po zakupy dla mamy do sklepu, to przejeżdżałam przez getto tu właśnie, w okolicy Hali Mirowskiej. To widziałam na własne oczy, takie tramwaje były, co miały pomosty. To tam Polacy worki mieli ze sobą i w pewnym momencie wyrzucali te worki na teren getta, z jedzeniem. To ja na własne oczy to widziałam. Ale nie wolno było tramwajowi żadnemu przystawać w getcie. Tak że Polacy umieli pomagać Żydom, bo widziałam to na własne oczy. Jak rzucali worki tam z jedzeniem, z jakimś, na pewno ziarno jakieś czy coś. No może byli umówieni, w którym miejscu, gdzie, jak i akurat Niemcy nie widzieli. Bo ta pomoc to się zawsze źle kończyła. Jakby pani była uprzejma jeszcze trochę więcej o ojcu powiedzieć, o służbie w armii Andersa, o Monte Cassino. Więc tak, mój ojciec został w czasie wojny zmobilizowany do wojska ze względu na to, że był kierowcą, a wtedy to była ta gorączka wojny, że rząd nasz cały się zbierał do ewakuowania. No i ojciec mój był też właśnie zabrany do wojska, jako kierowca. Wiem, że dostał się do niewoli, jak mi opowiadał, w czterdziestym, w trzydziestym dziewiątym roku na czterdziesty, w Rumunii przebywali. I potem, ale nie pamiętam, jakim cudem on się dostał później do armii Andersa. Widać stamtąd go jakoś zabrali. Tylko opowiadał o całym tym szlaku, o Tobruku, o Libii, gdzie on przebywał, że właśnie tam był na wygnaniu i potem dostał się do tej armii Andersa. Też był kierowcą, dostarczał amunicję. Opowiadał, jak on podwoził amunicję, żeby zaopatrywać tych żołnierzy walczących o Monte Cassino. No i dostał, mam dwa te odznaczenia, które są u mojego syna w Łomiankach. Mam i dokumenty do tego. Tak że wrócił dopiero w 1947 roku, bo dwa lata spędził jeszcze, zwiedził tam okolice, był nad morzem Martwym, był w Pale-

stynie, był u kolegi w Anglii, był u kolegi we Włoszech jakiś czas. No, ale jednak miłość do dzieci zwyciężyła, że przyjechał do nas. Ja pamiętam, wtedy byłam w liceum pedagogicznym. Nie zapomnę tego momentu, jak przyjechałam z Kwidzyna pociągiem do ojca, żeby go pierwszy raz po siedmiu latach zobaczyć. To było bardzo wzruszające. I ojciec opowiadał, no niestety nie było wtedy nagrań. Nie było możliwości, ja to sobie dzisiaj dopiero uświadamiam, że przecież to wszystko mogłam zapisać. Ale młoda dziewczyna, to ja żyłam innym życiem. W ogóle o wojnie to już nie chciałam myśleć. Te przeżycia, które były w czasie wojny, to były tak straszne, że się nie chciało o nich mówić. Jak moja mama, pamiętam przecież, tym partyzantom pomagała. Przychodzili wieczorem po chleb, pomagała. I przedtem Żydom. Moja mama była takim człowiekiem, który wszystkim chciał pomóc, ulżyć. Ciężko przeżywała wszystko to. Nie chce się wracać do takich strasznych chwil, złych. Wygnali nas wtedy, to był front w czterdziestym czwartym roku, jak ten front był w Łomiankach, bitwa była straszna. Wygnali wszystkich ludzi. I myśmy się znaleźli w Leoncinie, w Puszczy Kampinoskiej. I tam nas przygarnęli gospodarze i moja mama tam zapasy miała, te ze sklepu, co miała. Jakieś ubrania. A ja przede wszystkim książki chroniłam. Pamiętam, zakopałam wszystkie moje książki, bo ja od dziecka bardzo lubiłam dużo czytać. To książki były dla mnie największą wtedy wartością. Do dzisiaj mam szczątki tych książek niektórych, które ocalały. I to dla mnie było najważniejsze. A mama miała tam zapasy ubrania, jakieś to materiały, to papierosy, to zapalniczki, to inne rzeczy, ze sklepu. I potem w ten sposób radziła sobie, żeby utrzymać nas. To płaciła ludziom za to tymi towarami, że tak powiem, że nas utrzymywali. Chociaż oni i bezpłatnie wtedy też ludziom pomagali. Dawali jeść, pamiętam, że ciągle były zacierki na mleku, bo tylko krowa była i te zacierki nam robili. Codziennie na śniadanie taki talerz zacierki. I tam mnie spotkało wyzwolenie w czterdziestym piątym roku, w styczniu. Tam właśnie w tym Leoncinie. I żeśmy, zaraz jak tylko wyzwolili, to myśmy wrócili z mamą, z bratem, do Łomianek. Zastaliśmy straszny stan, bo spalone domy, zniszczone, dachy pozrywane. Domy porozbierane. Pełno jeszcze tych różnych, po wojnie, tych bomb, kul, wszystkie. To można było to zbierać, nie wiem, w jakiej ilości. To takie robili, pamiętam, karbidówki z tych gilz po pociskach to robili takie lampy, żeby się palił karbid. To pamiętam zapach tego karbidu. Jak tam ludzie umieli sobie z tym radzić. Nie było światła, nie było wody, nie było nic. Taki był okres straszny. A wody nie było, bo studnie były, ale były zanieczyszczone. Po piętnaście koni albo ludzi zakopywali przy domu moim. To było na wprost, w Łomiankach, na wprost kościoła. To pamiętam, była wyrwa po ogromnym pocisku i tam zakopano ileś tych koni i ta woda, która była poniżej tego właśnie, była zanieczyszczona, że myśmy nie mogli korzystać nawet z tej wody. Trzeba było chodzić do innych studni, żeby brać wodę, bo te ciała koni się porozkładały i zanieczyściły, strasznie to było. No też było, że moja mama pomagała uciekinierom z Legionowa, bo tam u nich wcześniej był front. To ta cała fala tych uciekinierów przechodziła przez Łomianki. I moja mama tak, ile tylko ludzi się zmieściło, to nocowała w mieszkaniu. Gotowała ogromne sagany jedzenia, żeby nakarmić tych ludzi. Tak że na każdym kroku widzę tę pomoc mojej matki. Nie tylko Żydom, nie tylko Polakom. Komu mogła, to pomagała. I partyzantom. W jakiś sposób starała się w tych strasznych czasach jakichś, jakąś nieść pomoc. Trochę i mnie to chyba przyszło, że i ja tak dalej staram się też wszystkim pomagać, jak mogę. To właściwie to niewiele więcej na temat Żydów, to ja tylko to mogę powiedzieć, że dawała. Co jakiś czas przychodził Żydziak, nieraz po dwóch przychodziło i zabierali to jedzenie dla swojej rodziny. I tam jakoś, a co się z nimi stało... Słyszałam, że ich zabijali, zastrzelili tam, folksdojcz zastrzelił takiego młodego chłopaka, na Dąbrowie to było. To Aldona opowiadała. Ty znasz Aldonę. To ona też, jej matka też pomagała tym Żydom. Dużo, Polacy byli bardzo dobrze ustosunkowani do Żydów. Nie można powiedzieć, że jakieś były antagonizmy. Starali się im pomóc, a szczególnie właśnie w takich ciężkich chwilach. Może tam przed wojną były nieraz jakieś tam... Pamiętam, taki napis był kiedyś, na płocie, w środku Łomianek. „Nie kupuj u Żyda”.

To pamiętam ten napis, do dzisiaj pamiętam. Były dużymi literami wypisane. No, ale to były takie grupy różnych ludzi, którzy zawsze się gdzieś znajdują, którzy są niechętni innym. Ale głównie to jednak ta pomoc była. I w Łomiankach, poza tym właśnie jednym tym zabiciem tego chłopaka, nigdy nie słyszało się, że komuś tam krzywdę zrobili Polacy.

Tomasz Sikorski: Braci pani miała dwóch?

Helena Sokół: Miałam brata...

Tomasz Sikorski: Przyrodniego tego, który poszedł do Auschwitz, tak?

Helena Sokół: Ten co był w Auschwitz, to był bratem przyrodnim, bo tak jak mówiłam, moja mama wyszła za mąż, za mojego ojca, z którym miała mnie i brata. A ten brat, drugi, to był z innego ojca. Ale brat rodzony, z mojej matki. Kiedy mogłam pisać jeszcze, bo teraz oczy mam popsute, to pisałam taki jakby pamiętnik, jakby no, po prostu relację całej tej, tego okresu okropnego. I wojnę opisaną, w trzydziestym dziewiątym roku. I o rodzicach, i o rodzinie, i między innymi te dokumenty, które dotyczyły mojego brata. I dotyczyły mojego ojca, też zdjęcia mam.